

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PRUSZKÓW, ZAPLECZE DYSKONTU SPOŻYWCZEGO,
PONIEDZIAŁEK, WCZESNY PORANEK

Nad niewielkim parkingiem, wciśniętym pomiędzy magazyn dyskontu spożywczego i pokraczne wykwity polskiej patode-
weloperki, powoli wstawało słońce. Charakterystyczny trzask
zapalniczki i wielki płomień, który z niej wyskoczył, skutecznie
rozproszyły resztki mroku przed oczami pięćdziesięcioletniej
Małgorzaty. Powiew rzeńskiego wiatru zwiastował, że jesień
zacznie się nie tylko w kalendarzu. Kobieta przetarła ciemno-
brązowe, zaspane oczy i zaciągnęła się papierosem tak mocno,
jak tylko umiała. Wierzyła, że za każdym razem, gdy zaciąga
się po raz drugi, zjawia się Marek w swojej dwudziestonowej
ciężarówce wypełnionej po brzegi delikatesami, bez których
mieszkańcy sąsiednich bloków nie byli w stanie przetrwać ani
jednego dnia. Z obserwacji Małgorzaty wynikało, że Marek
jako rozwodnik z rocznym stażem miotał się pomiędzy pra-
gnieniem spotkania nowej kobiety a chęcią nieustannego po-
mstowania na tę starą, która „tyle krwi mu w życiu napsuła, że
już woli do śmierci jeść kanapki, niż się znowu w coś łądować”.
Za każdym razem, gdy to mówił, Małgorzata miała ochotę
zapytać go, czy szuka partnerki czy kucharki, ale gryzła się w ję-
zyk, bo doskonale wiedziała, że to jego męskie zrzęczenie nie

miało nic wspólnego z rzeczywistością. Ta bowiem wyglądała zazwyczaj tak, że im bardziej mężczyzna psioczył na kobiety, tym bardziej się czuł przez nie zraniony, a owo psioczenie było jedynym sposobem, który znał i który pozwalał mu jakoś skanalizować nierozumiane emocje. Ci, którzy naprawdę pogardzali kobietami, zawsze wchodzili w buty twardzieli i na nic nigdy nie narzekali. Jak już im się coś nie podobało, walili w twarz, nie uznając półśrodków w postaci marudzenia.

Zgodnie z samospełniającą się przepowiednią wraz z drugim zaciągnięciem się papierosem w bramie wjazdowej na parking pojawiła się ciężarówka Marka. Silnik umilkł zaraz po tym, jak auto zatrzymało się w zatoczce zarezerwowanej dla dostawców. Ciszę, która zapanowała na moment, przerwały westchnienia mężczyzny. Chwilę później na brukowej kostce dało się słyszeć okropny odgłos metalowych kółek wózka do palet. Ten dźwięk zagłuszał wszystkie westchnięcia i doprowadzał do szału każdego, kto mieszkał w sąsiedztwie dyskontu.

– Cześć, Małgosiu. Znowu się widzimy. Drugie śniadanko? – Marek spojrzał wymownie na palonego w pośpiechu papierosa.

– Coś często się widzimy w ostatniej dobie. Tak, drugie, Marczku, pierwsze było po przebudzeniu – odparła Małgorzata i otworzyła na oścież drzwi magazynu, uwalniając charakterystyczny zapach. Dokładnie taki sam, jaki można poczuć, otwierając lodówkę.

– Wyjątkowa sytuacja. Wóz nam nawalił wieczorem i było kilka godzin opóźnienia ze wszystkim. Dlatego drugi raz jestem. Że też wam zdrowia i pieniędzy na to nie szkoda – dodał mężczyzna z przekąsem, ponownie zerkając na

papierosa w ustach Małgorzaty, i ustawił paletę załadowaną mąką i cukrem przed drzwiami magazynu. – Zimno, cholera, się robi, jesień idzie... – wymamrotał do siebie pod nosem, nie spuszczać z oczu rozmówczyni, która wolnym krokiem szła w stronę ustawionego pod ścianą magazynu biurka, na którym obok stert papierów i papierosów stały brudne kubki po kawie.

– Wolę palić niż pić – Małgorzata odbiła piłeczkę, nie odrywając wzroku od towaru, który musiała sprawdzić i przyjąć.

– Można nie pić i nie palić.

– A ty ani nie pijesz, ani nie palisz?

– Rzuciłem jedno i drugie.

– A na koniec żona rzuciła ciebie. Źle zrobiłeś, chłopaku – podsumowała Małgorzata, podpisując protokół odbioru towaru, po czym spojrzała na Marka z szelmowskim uśmiechem.

– Jakbym pił i palił, to by mnie nie rzuciła? Już to widzę...

– Tego nie wiem, Marek, ale wiem jedno. Mężczyzna w pewnym wieku powinien mieć jakieś skazy, blizny czy cholera wie co. Jak ich nie ma, to znaczy, że o nic nigdy nie walczył. Głośno żadna baba ci tego nie powie, ale jak chłop jest za idealny, to jest zawsze podejrzany.

– Chyba sobie to zanotuję – odparł z sarkazmem Marek i zaczął manewrować wózkiem z paletą.

– Długopis chcesz?

– Bardzo śmieszne, bardzo. – Dostawca wymownie zarechotał i wzdychając, popchnął wózek w głąb magazynu.

Przez chwilę kobieta obracała w palcach długopis i z uśmiechem na twarzy przyglądała się koledze, który ustawiał paletę w magazynie. Pomimo że czterdzieści lat skończył dość dawno, był bardzo sprawny i silny. Całe to jego narzekanie

i wzdychanie podczas pracy było jakimś rodzajem męskiej kokieterii czy też może niezgrabnym domaganiem się damskiej uwagi i troski, których wyraźnie od dawna mu brakowało. Im dłużej Małgorzata go znała, tym bardziej była przekonana, że to poczucie braku musiało towarzyszyć mężczyźnie przez dużo dłuższy czas niż ten, który minął od jego rozwodu.

– Za ostro z nim pani kierowniczką gra. – Głos najmłodszej stażem i wiekiem pracownicy dyskontu przerwał Małgorzacie damsko-męskie rozważania.

– Andżeliko, nie powinnaś aby rozładowywać tych palet, co właśnie je przywiózł?

– Zaraz je ogarnę, pani kierowniczką – odparła pewnym siebie tonem drobna, jasnowłosa dziewczyna o ładnym, ale rozbieganym spojrzeniu i wyciągnęła z tylnej kieszeni jeansów gumy do żucia.

– Co ty masz z tymi gumami? Wiesz, że jak je za często żujesz, to rozwolnienia możesz dostać? Skąd pomysł, że ja z nim w coś pogrywam? – Małgorzata zaciągnęła się po raz kolejny.

– Fajki rzucam. Z gorszymi rzeczami sobie dawałam radę niż z rozwolnieniem. Gołym okiem widać, że się lubicie, a od tego się zawsze zaczyna. Nie od łóżka, jak ludzie myślą. Jak się coś od łóżka zaczyna, to się w łóżku skończy. A jak się ludzie lubią i razem śmieją, to może się to do śmierci nie skończyć.

– Ty taka ekspertka od związków jesteś?

– Od związków to niekoniecznie, pani kierowniczką, ale na ludziach się znam. Jeszcze się nigdy nie pomyliłam, chociaż inna sprawa, że długo nie żyję. Z nim musi pani inaczej – kontynuowała niezrażona Andżelika. – Ja go trochę znam. Tę jego żonę w sumie bardziej.

– Skąd?

– Za dzieciaka mieszkałam w tej samej klatce co oni. To taki pocziwina. Muchy by nie skrzywdził. Dobry chłop, ale mało która laska z takim wytrzyma.

– Z pocziwiną mało która wytrzyma? – Małgorzata zaśmiała się cicho, przyglądając się uważnie młodszej koleżance.

– Wytrzymać to każda wytrzyma. Źle to powiedziałam, kierowniczo. – Andżelika żuła jeszcze szybciej, niż mówiła. – Ale z takim chłopem to trochę nudno. No chyba że już swoje się pani w życiu naszała i ma dość, to taki idealny – wyjaśniła dziewczyna i spojrzała badawczo na szefową, która nic jednak nie odpowiedziała. – Ale z nim to inaczej musi pani grać. Kawy niech mu pani zrobi, da mu pogadać, ciastem go poczęstuje. On jest majsterkowicz. Pamiętam, że rower mi nieraz naprawiał, bo przecież mój stary to raczej tylko psuć umie. Niech go pani zagada, czy by gniazdka nie naprawił czy coś. Jak już do pani przyjdzie, to zostanie – podsumowała Andżelika. – No, lecę ogarniać te palety, bo mi pani premii nie da, a mi kasa potrzebna. – Dziewczyna zakończyła rozmowę i bez słowa wróciła do magazynu.

– Jeszcze dwie i jadę dalej – poinformował tymczasem dostawca zaraz po wyjściu z magazynu i skierował się wraz z wózkiem do ciężarówki.

– Jasne, Marcze, jasne – odparła zamyślona kobieta i odprowadziła znajomego wzrokiem.

ROZDZIAŁ DRUGI

PRUSZKÓW, KOMENDA POWIATOWA POLICJI,
PONIEDZIAŁEK, WCZESNY PORANEK

Dyżurny Komendy Powiatowej Policji w Pruszkowie przecierał oczy, zerkając jednocześnie na wielki zegar wiszący na ścianie. Wskazówki wskazywały piętnaście po szóstej rano, co oznaczało, że mężczyzna od kwadransa powinien być po służbie, jednak jego zmiennik miał się tego dnia spóźnić, o czym uprzedził zaledwie pół godziny wcześniej. Na komendzie panowała cisza, przerywana jedynie komunikatami policyjnymi dobiegającymi z radiostacji. Te jednak nie robiły na doświadczonym aspirancie wrażenia tak długo, jak z głośnika nie dało się usłyszeć słów „trzy siedem zero zero”, będących znakiem wywoławczym pruszkowskiej komendy, którego policjanci używali, zgłaszając się przez radio do dyżurnego. Aspirant wstał zza wielkiego biurka i wyrzwał przez okno na skrzyżowanie ulic Kraszewskiego i Lipowej w nadziei na to, że zobaczy kolegę, który miał go zmienić, jednak wśród grupy ludzi idących od kolejki WKD nie było żadnej znajomej twarzy.

Telefon na biurku dyżurnego zaświergotał cicho, zwiastując, że służba może się przeciągnąć o kolejne kwadranse.

– Policja Pruszków, słucham. – Mężczyzna wyrecytował formułkę, przecierając masywną dłońią wąsy.

– Proszę pana, ja dziś wcześniej poszłam na działkę... – Jakaś wyraźnie wystraszona kobieta relacjonowała nerwowo. – Tu, na Turystycznej, wie pan, pod lasem. I w domku obok mojej działki u Boguckich mój pies coś zaczął węszyć i czekać. Ja tam podeszłam i oni tam wszyscy leżą zamordowani chyba. Wszystko jest we krwi!

– Pani imię i nazwisko poproszę – odparł policjant spokojnym głosem, chcąc sprowadzić dialog na merytoryczne tory.

– Moje nazwisko? – Rozmówczyni wyraźnie była zdumiona rzeczowym pytaniem policjanta. – Śliwińska Barbara.

– Pani tam teraz jest, tak?

– No tak, to straszne. Kto to mógł zrobić?

– Proszę zostać na miejscu i trzymać psa na smyczy, żeby nie ruszał niczego. Sama niech pani też nie zbliża się do domku i niczego nie dotyka. Wysłałam do pani radiowóz. Będą do pani zaraz dzwonić.

– To może ja podam swój numer telefonu?

– Widzę pani numer i zanotowałem pani nazwisko. Proszę spokojnie czekać. Policjanci zaraz będą na miejscu. – Dyżurny zakończył rozmowę i sięgnął po radiostację. – Trzy siedem zero zero do zero cztery. – W chwili gdy mężczyzna wywołał jeden z radiowozów, w dyżurce pojawił się jego zmiennik.

– Zgłaszam. – Głos funkcjonariusza służby patrolowej wybrzmiał w głośniku radiostacji.

– Udajcie się na teren ogródków działkowych na Turystyczną w Komorowie. Jakaś kobieta ujawniła zwłoki kilku osób w jednym z domków działkowych. Zaraz dam wam numer

tej babki i wysłę technika. Jedźcie to natychmiast zabezpieczyć. Tylko nie na bombach. O szóstej rano korków nie ma, niepotrzebnie ludzi pobudzicie. – Dyżurny wydał dyspozycję i uściśnął dłoń zmiennika.

– Wiedziałam, że coś pieprznie, zanim zejdem ze służby. – Policjant po drugiej strony linii skomentował zrezygnowanym tonem, ale natychmiast się zmitygował. – Przyjąłem, udaję się. – Głos funkcjonariusza po raz ostatni zaskrzeczał w radiostacji.

– Widzę, że się dobrze bawicie – skomentował, zakładając mundur, nowo przybyły funkcjonariusz. – Trupy na działce w Komorowie? Lumpy się o wódkę pobiły?

– Podobno cała rodzina. Może jakaś awantura domowa.

Kilka minut później policyjna Kia zatrzymała się przed bramą Rodzinnego Ogrodu Działkowego w Komorowie. Policjanci wysiedli z radiowozu i zastygli na moment w bezruchu. Wschodzące wrześnie słońce przebijało się przez pokryte złotymi liśćmi korony drzew. Las sąsiadujący z ogrodem działkowym wyglądał tak dobrze, że dwóch funkcjonariuszy odwlekało tak długo, jak tylko było to możliwe, wstępne oględziny miejsca rzekomego zabójstwa.

– Dzień dobry, panowie, to tu, o tu! – roztrzęsiony damski głos przerwał policjantom rozkoszowanie się pięknem przyrody.

– Starszy sierżant sztabowy Stefański i starszy posterunkowy Majewski, dzień dobry pani. Proszę nam wszystko opowiedzieć.

– No, dobry to on już na pewno nie będzie, panie sierżancie. Boguckich zabili, o tam, w ich domku. – Mniej więcej pięćdziesięcioletnia, wyraźnie spanikowana szatynka gestykulowała energicznie, wskazując na drewniany budynek za plecami.

– Rozumiem. Porozmawiaj z panią, a ja się tam rozejrzę. – Sierżant, dobrze zbudowany blondyn dobiegający trzydziestki, wydał polecenie młodszemu – i znacznie chudszyemu – koledze, a sam przeszedł kilka kroków w kierunku domu, zwracając uwagę na każdy swój krok.

Podczas gdy działkowiczka podawała swoje dane postępowemu, Stefański przeszedł krzywym chodnikiem na werandę domku i wyciągnął z kieszeni munduru szczyryk. Wsunął ostrze pomiędzy drzwi i futrynę i pociągnął skrzydło drzwi ku sobie, nie dotykając klamki. Z zamka wypadł stary klucz i stuknął cicho, odbijając się od gumowej wykładziny w domku. Sierżant przeszedł przez próg. Na kilku metrach kwadratowych leżały zakrwawione ciała: mężczyzny i kobiety gdzieś pomiędzy pięćdziesiątym a sześćdziesiątym rokiem życia, oraz mężczyzny koło trzydziestki. Wszystkie trzy ciała były mocno posiniaczone i pokryte skrzeplinami brunatnej już krwi. Ciasnota pomieszczenia sprawiała, że zwłoki były w nienaturalny sposób powykrzywiane i przypominały upiorną scenografię filmową zbudowaną z manekinów. Wykręcone kończyny denatów tkwiły pod wersalką lub starym kredensem, podczas gdy na ich posiniaczonych twarzach leżały fragmenty potłuczonego szkła wazonu, złamanego krzesła oraz popiół i pety z przewróconej popielniczki. Jeden z niedopałków wciąż tkwił między wargami starszego mężczyzny. Nie mając większej nadziei na ustalenie czegoś innego niż to, czego się spodziewał, Stefański nachylił się ostrożnie nad każdym z ciał, sprawdził tętno i podstawowe czynności życiowe ofiar. Lekarz potrzebny był tu tylko po to, aby formalnie potwierdzić zgon.

– No i cała rodzina, proszę pana, cała. Wszyscy czworo leżą martwi. Taka tragedia, a tu tak spokojnie było. Ja nie wiem, jak nam tu dalej przyjdzie żyć na tych działkach... – Kobieta, która odkryła zwłoki, nerwowo wyrzucała z siebie słowa.

– Czworo? Tak pani powiedziała? – upewnił się sierżant, który właśnie wyszedł z domku.

– No a nie? Przecież wszyscy Boguccy tam leżą!

– Są trzy ciała, proszę pani. Dwóch mężczyzn i kobieta. Pani twierdzi, że w tej rodzinie były cztery osoby?

– No, cztery, Hanka Bogucka, jej mąż Andrzej i dzieciaki. Syn Rafał i córka Andżelika.

– Z pani opisu wynika, że są tu wszyscy oprócz Andżeliki. Dobrze pani знаła tych ludzi? Wie pani, gdzie mieszkali, gdzie możemy znaleźć tę córkę? – Policjant podszedł do Barbary Śliwińskiej i popatrzył jej prosto w oczy.

– Znałam, ale czy dobrze? Bo to człowiek wie, na ile drugiego zna? Bywali tu prawie co weekend letnią porą. Andżelika ostatnio też tu była z nimi. Mówiła coś, że pracę nową znalazła... – Kobieta wbiła wzrok w trawnik i nagle się zamyśliła.

– Pamięta pani, gdzie?

– W jakimś takim markecie, Biedronce czy tym drugim... – Śliwińska starała się przypomnieć sobie szczegóły.

– W Lidlu?

– Nie, nie... Taki polski jakiś. W Stokrotce! W Pruszkowie. Na Kraszewskiego. Tam! Na pewno tam, bo mówiła, że zadowolona jest, bo do roboty blisko, a oni, panie, na Kopernika mieszkali, to przecież pięć minut i była na miejscu. – Kobieta uśmiechnęła się, zadowolona z siebie jak dziecko, które udzieliło poprawnej odpowiedzi przy tablicy.

ROZDZIAŁ TRZECI

PRUSZKÓW, ZAPLECZE DYSKONTU SPOŻYWCZEGO,
PONIEDZIAŁEK, WCZESNE POPOŁUDNIE

Każdego dnia o trzynastej zaczynała się godzina szczytu dla pracowniczek jednej z pruszkowskich Stokrotek. Wśród personelu tego sklepu mężczyźni pojawiali się równie rzadko jak zorza polarna nad Warszawą i mniej więcej równie krótko tu gościli. Pomimo niełatwych warunków pracy około dziesięcioosobowy zespół kobiet całkiem sprawnie radził sobie z niekończącym się potokiem dostaw, niecichnącymi alarmami samoobsługowych kas i ustawianiem towarów na półkach.

Kierowniczka zmiany paliła papierosa, oparta o paletę z towarem, kiedy policyjny wóz zatrzymał się w zatoczce, w której jeszcze niedawno parkowała ciężarówka. Widząc dwóch policjantów wysiadających z radiowozu, Małgorzata założyła automatycznie, że funkcjonariusze po raz kolejny pojawili się w Stokrotce w związku z próbą kradzieży towaru przez klientów. Mundurowi rozejrzeli się i widząc palącą papierosa kobietę w stroju z logo Stokrotki, ruszyli ku niej zamiast do głównego wejścia do sklepu. Małgorzata zaciągnęła się dwukrotnie i zgasiła peta, przyciskając go do drewnianej palety.

– Dzień dobry, sierżant Stefański, Komenda Powiatowa w Pruszkowie. Szukamy pani Andżeliki Boguckiej. Z tego, co udało nam się ustalić, pracuje tutaj.

– Owszem, pracuje. – Małgorzata uważnie przyglądała się policjantom. – Coś przeskrobała?

– Proszę ją zawołać, jeśli jest w pracy. – Posterunkowy Majewski zgrabnie włączył się do rozmowy, wzbudzając tym samym uznanie sierżanta.

Małgorzata zniknęła w sklepowym magazynie, gdzie z każdym kolejnym krokiem coraz bardziej obawiała się tego, czego za chwilę się dowie. Osobiście zabiegała o przyjęcie Andżeliki do pracy, pomimo że dziewczyna nie do końca pasowała do profilu idealnej kandydatki na stanowisko asystenta klienta.

– Andżelika! – Małgorzata wywołała dziewczynę pracującą aktualnie w chłodni.

– Co tam, kierowniczo?!

– Zostaw tę robotę na razie. Ktoś chce z tobą pogadać.

Dziewczyna odstawiła na podłogę plastikową skrzynkę z mrożonymi rybami i wyszła z chłodni.

– Kto niby? – spytała, jednak nie doczekała się odpowiedzi. Kierowniczka wskazała tylko dłonią wyjście z magazynu, przy którym stało dwóch policjantów. Andżelika ruszyła do wyjścia, zrzucając jednocześnie z dłoni grube, gumowe rękawiczki.

– Pani Andżelika Bogucka? – upewnił się w ramach powitania sierżant Stefański.

– We własnej osobie – odpowiedziała dziewczyna, jednocześnie unikając wzrokiem policjantów.

– Pani Andżeliko, niestety mam złe wieści. W domku letniskowym w ogrodzie działkowym w Komorowie znaleźliśmy

trzy ciała. Według zeznań naocznych świadków ofiary są pani rodziną. Musi pani pojechać z nami.

– Ja pierdołę... – Andżelika zaklęła i ukucnęła, opierając się o wciąż nierozładowaną paletę. Stefański dał jej chwilę na przetrwanie wiadomości, ale kiedy nie odzywała się zbyt długo, zapytał:

– Dobrze się pani czuje?

– Tak, tak... Tylko jestem w drugim miesiącu ciąży – wyjaśniła nadal otumaniona Andżelika.

– W ciąży rozładowuje pani towar? – Zdziwił się sierżant.

– Już długo nie dam rady, ale na razie potrzebuję tej roboty.

Stefański pokiwał głową, zdjął czapkę i wręczył ją Andżelice. Zdezorientowana dziewczyna wyprostowała się i z wahaniem odebrała element policyjnego umundurowania z dłoni sierżanta. Ten w czasie kolejnych dwóch minut sprawnymi ruchami rozładował towar z drewnianej palety i ustawił produkty w magazynie. Pracownicy dyskontu przyglądali się tej dziwacznej scenie w milczeniu.

– Proszę powiedzieć przełożonym, że dziś już pani nie będzie. – Sierżant zwrócił się do Andżeliki, wyjmując jej z dłoni swoją czapkę.

Wnętrze domku działkowego, który Andżelika знаła od dziecka, w niczym nie przypominało miejsca, w którym spędziła liczne weekendy i wakacje. Elementy wystroju wnętrza, rodem z lat osiemdziesiątych, leżały teraz porozrzucane na podłodze obok ciał rodziców i brata Andżeliki. Dziewczynie w tej chwili

przychodziła do głowy jedynie absurdalna myśl, że po raz pierwszy w życiu widzi swoich bliskich tak spokojnych.

– Może pani wstępnie potwierdzić tożsamość tych osób? – spytał cicho Stefański i wyjął służbowy notatnik.

– To moi rodzice i brat – wymamrotała Andżelika, nie odrywając wzroku od podłogi, na której leżały ciała jej bliskich. – Andrzej Bogucki, Hanna Bogucka i Rafał Bogucki – sprecyzowała i sięgnęła ręką po plastikową figurkę Matki Boskiej stojącą na starym regale.

– Proszę póki co niczego nie ruszać. Musimy skończyć swoją robotę. – Sierżant powstrzymał Andżelikę i delikatnie popchnął ją ku wyjściu. – Na pewno dobrze się pani czuje?

– Bywało lepiej – odparła młoda Bogucka i sięgnęła po ostatnią gumę do żucia.

– Miałem na myśli samopoczucie fizyczne. – Policjant zamknął drzwi domku i skinął głową kolegom od techniki kryminalistycznej, dając znać, że mogą rozpocząć pracę.

– Dam radę. Mógłby mnie pan odwieźć do domu? Klucze od domku panu zostawię i odbiorę później. Okej?

– Muszę spisać pani zeznania, ale to możemy załatwić w samochodzie. Potem panią odwiozę – obiecał Stefański i schował do kieszeni otrzymane od dziewczyny klucze.

ROZDZIAŁ CZWARTY

PRUSZKÓW, PARK POTULICKICH,
PONIEDZIAŁEK, WCZESNE POPOŁUDNIE

Korzystając z dni wolnych od pracy, Robert Laurentowicz spacerował ze swoim kilkuletnim synem w parku w centrum Pruszkowa. Od przeprowadzki z warszawskiej Ochoty minęło dopiero kilka miesięcy i komisarz nie do końca jeszcze zaaklimatyzował się w nowej okolicy, jednak Park Potulickich w Pruszkowie uznał już za swoje ulubione miejsce. Ponad dwadzieścia hektarów starannie zaprojektowanych terenów zielonych otaczających duże stawy było doskonałym miejscem do spacerów.

– Tata, wiesz, że tu są bobry? – Mały Piotrek wyrwał ojca z zamyślenia i wskazał rączką na dzikie zarośla i mokradła.

– Bobry w parku? Nie wiedziałem. Nigdy nie widziałem bobra, Piotrek. Może jakiegoś znajdziesz, co? – Komisarz ukucnął obok syna i udawał, że wypatruje czegoś w oddali.

– Już znalazłem, tu jest. – Chłopiec machnął dłonią, plosząc zwierzę, które szybko oddaliło się o parę metrów.

– O cholera! – Robert odskoczył, odciągając równocześnie syna i bezwiednie sięgając pod lewą pachę, gdzie zazwyczaj nosił broń. Jednak tylko wtedy, gdy był na służbie.

Minęło kilkanaście sekund, zanim komisarz uświadomił sobie, że swoją nie do końca adekwatną do sytuacji reakcją

wystraszył zarówno dziecko, jak i gryzonia, który podreptał jeszcze dalej w kierunku wody, po czym zatrzymał się i zaciekawiony patrzył na cicho płaczącego chłopca.

– Przepraszam, Piotruś, nie płacz. – Laurentowicz objął syna i wziął głęboki oddech. – Nie widziałem tego bobra, zaskoczył mnie i po prostu się przestraszyłem. Ty nie? – Komisarz teatralnie udął zdumienie i tym samym skutecznie przegnał strach syna.

– Jak ty, tata, tych bandytów znajdujesz, jak ty bobra nie zobaczyłeś na brzegu stawu? No jak? – Mały Laurentowicz roześmiał się, zadowolony z trafności własnej uwagi.

– Nie wiem, Piotruś. Może ciebie powinienem do pracy czasem zabierać, co?

– Dobra, tata, to kiedy idziemy razem?! – Chłopak momentalnie zapalił się do pomysłu ojca.

– A wiesz... Może w przyszłym tygodniu. Obiecałem ci, że jak podrośniesz, to cię zabiorę. Ty już całkiem duży chłopak jesteś. I odważny. Bobra w ogóle się nie bałeś, a wielki był jak pies.

– Super, tata! To zrób mu zdjęcie. Pokażę mamie i kolegom.

– Pewnie. – Komisarz wyjął z kieszeni smartfon, kierując obiektyw aparatu w stronę stawu.

– A na lody możemy pójść?

– Jasne, że możemy. – Laurentowicz schował urządzenie i wziął syna za rękę.

Niemalże w tej samej chwili telefon oficera zadzwonił w charakterystyczny sposób, dając jednoznacznie do zrozumienia, że polska policja przypomniawszy sobie o jednym ze swoich dzielnych synów.

– Laurentowicz, słucham. – Komisarz odebrał połączenie od przełożonego.

– Panie Robercie, wiem, że pan jest na urlopie, ale pan to na urlopach ostatnio częściej niż w robocie, a ja mam takie pytanie. Pan jest w Pruszkowie czy gdzieś pan wyjechał?

– Już wróciłem. Jestem w Pruszkowie. Nawet remont skończyłem przedwczoraj.

– To gratulacje. A jak się mieszka pod Warszawą?

– Dobrze, bo mieszkanie mam większe, ale wie pan... – Komisarz zaśmiał się cicho. – Po ponad czterdziestu latach mieszkania w Warszawie do kilku rzeczy trzeba się przyzwyczaić, chociaż granica między Pruszkowem a Warszawą to już jest praktycznie niezauważalna.

– To prawda. Panie Robercie, dzwonię w takiej głównianej sprawie. Jak pan nie chce się za to brać, to nie ma tematu, ale komendant z Pruszkowa to mój kolega. Mam u niego dług i jakby się go dało spłacić pana rękami, to ja bym miał dług u pana. Co pan na taki układ? – Szef Laurentowicza zaśmiał się do słuchawki.

– Ciężko się nie zgodzić – odparł komisarz i pociągnął ciężkie drzwi parkowej restauracji, wpuszczając syna do środka. – Nie dość, że awans dostałem, to jeszcze będę miał u szefa dług wdzięczności. Dobry początek.

– Po tym awansie to ja nie będę już pana przełożonym, ale do rzeczy. W Pruszkowie na jakiejś działce ujawniono zwłoki rodziny. Małżeństwo i ich dorosły syn. Córka była w pracy. Żyje. Po tej sprawie z Wasilewskim, a właściwie to... – Przełożony Laurentowicza umilkł na chwilę, a w słuchawce dało się usłyszeć szelest papierów. – Cholera.

– Co tam, szefie?

– Tych ludzi nie zamordowano dokładnie w Pruszkowie, a obok w Komorowie. Te ogródki działkowe są jakieś dwieście, trzysta metrów od domu Wasilewskiego...

– Myśli pan, że Wasilewski z za grobu wydał zlecenie na zamordowanie jakiejś rodziny działkowiczów? – Komisarz Laurentowicz spróbował obrócić spostrzeżenia przełożonego w żart, nie do końca wiedząc, czemu to robi. Chociaż osobiście taki pomysł wydawał mu się mało prawdopodobny, na tym etapie śledztwa nie można przecież było całkowicie wykluczyć hipotezy zakładającej jakieś opóźnione wykonanie wyroku, wydanego przez nieżyjącego już gangstera, lub też wyrównywanie starych porachunków przez jego ludzi.

– Nic nie myślę na razie. Mówię panu, co widzę w papierach. A wracając do Pruszkowa, to sprawy mają się następująco. Jeden gość w tamtejszej dochodzeniówce musiał pożegnać się z robotą w firmie. Drugi jest na zwolnieniu od miesiąca albo i dłużej, i nie do końca wiadomo, czy niedomaga jego ciało czy umysł. Trzeci jest sam i pół roku temu zaczął pracę... A właściwie to trzecia. Młoda podkomisarz. Sześć miesięcy temu ze Szczytna wyszła. Ambitna, inteligentna, ale za grosz doświadczenia.

– Ja też kiedyś nie miałem doświadczenia. Trzeba ich wspomóc kadrowo, jak rozumiem? – Laurentowicz upewnił się i odszedł od stolika, który już zajął jego syn, po czym wyszedł przed restaurację. – Wiadomo z grubsza, co się stało?

– Bardzo z grubsza. Jakaś szarpanina tam była. Sporo krwi, ale wygląda to na bijatykę. Żadnych ran od noża czy postrzałowych. Z referatu dzielnicowych dostaliśmy notatkę, że tam niebieska karta była i nieustanne awantury, ale...

– Z niebieskiej karty to zwykle wynika co najwyżej jedno zabójstwo, kiedy jakiś wkurwiony gość pociągnie drugiego tulipanem¹ po gardle. – Laurentowicz dokończył myśl szefa, zerkając jednocześnie na syna siedzącego przy stoliku wewnątrz restauracji.

– No właśnie. Dobra, panie Robercie, nie będziemy dywagować. Nie będzie pan miał nic przeciwko, jak pana oddeleguję na chwilę do tej roboty? W Pruszkowie nie bardzo ma się kto tym teraz zająć po prostu, a z pana doświadczeniem w dwa tygodnie pan to ogarnie. Da pan radę? Wysłałbym panu kontakt do tej młodej podkomisarz z Pruszkowa, jeśli się pan zgodzi.

– Jasne. Umówmy się, że to moja ostatnia robota dla pana. – Komisarz przystał na propozycję przełożonego, a po krótkiej wymianie uprzejmości zakończył rozmowę, westchnął i schował telefon do tylnej kieszeni jeansów.

Po raz kolejny w ciągu ostatnich kilku tygodni Laurentowicz pomyślał o tym, że nad jego przeprowadzką do Pruszkowa ciąży jakieś fatum. Po tym, jak przez blisko dwie dekady uganiał się za szefem tutejszego gangu, próbował teraz zapomnieć o wszystkim, co się z tamtą sprawą wiązało. Jednocześnie był w trakcie przeprowadzki z niedużego mieszkania na warszawskiej Ochocie do zdecydowanie większego w Pruszkowie. W tle tych wydarzeń trwała procedura awansu komisarza do Centralnego Biura Śledczego. Przed chwilą zaś okazało się, że zanim dojdzie do awansu, śledczy będzie musiał zająć się jeszcze sprawą zabójstwa pod Pruszkowem.

¹ Potoczne określenie butelki stłuczonej w taki sposób, aby trzymając ją za szyjkę, można było zadać cios ostrymi krawędziami.

Nadkomisarz porzucił natrętne myśli i wrócił do restauracji, gdzie czekał na niego nieco już znecierpliwiony syn.

– Tata, zamówiłem frytki dla siebie i dla ciebie. – Piotrek przywitał ojca z dumą w głosie.

– Jak to zrobiłeś? – Laurentowicz rozejrzał się zdezorientowany i zatrzymał wzrok na uśmiechniętej kelnerce stojącej za kasą.

– Ta pani przysła i spytała, co chciałbym zjeść. – Chłopiec wskazał palcem na tę samą kobietę, której przyglądał się jego ojciec. – Powiedziałem, że chciałbym frytki dla siebie i dla taty, no i powiedziała, że zaraz przyniesie.

– Dzięki, synek. – Laurentowicz odwrócił wzrok od kelnerki, spojrzał na małego i przeszedł do kasy zamówić coś jeszcze, a przy okazji upewnić się, że syn nie złożył zamówienia na jakieś ekstrawaganckie potrawy.